Ner 1. Kraków, 8go Stycznia. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

B e z m ó d:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . 1 „ 30 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

B e z m ó d:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w. a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Godność i przeznaczenie
PŁCI PIĘKNEJ.

Genesis, jedna z ksiąg śtych, powiada nam: „że po utworzeniu człowieka, Bóg wyjął żebro z boku Adama i z niego utworzył kobietę“.

Wieleż tu nasuwa się uwag z samego pochodzenia kobiety! dlaczego ją Pan Bóg nieutworzył z ziemi jak Adama? lecz już z ulepszonej materyi, którą uświęcił tchnięciem ducha swojego. To tłómaczy oraz jasno i zrozumiale dla mnie prędszy rozwój w kobiecie, skorszy zwrot ku wszystkiemu, co wzniosłe i piękne prawdziwie— któryż mężczyzna dorówna sercem kobiecie? który ją doscignie poświęceniem? przewyższy w wierze?

Zaprawdę Stwórca przeznaczając ją na matkę, towarzyszkę, wychowawczynię tego człowieka, którego nad wszystko stworzenie ukochał, i tak wysoko w myśli swej uposażył, musiał utworzyć ją doskonalszą tak w ustroju fizycznym, jak i moralnym. — Musiał jej serce natchnąć większą świętością, aby wystarczyła nietylko sobie, lecz aby oraz tej świętości udzielała tym, których życie Bóg powierzył jej sercu.

Dał jej więc charakter wprawdzie bierny co do wpływu złego, lecz zawsze pochopny do wszystkiego, co jest wielkie i piękne! Spojrzyjmy w dzieje pierwszych wieków chrześciaństwa — ileż się to kobieta przyczyniła do wzrostu, zaszczepienia i utrwalenia śtej wiary naszej! — Spojrzyjmy w dzieje moralności, a znajdziemy, że kobieta jest kapłanką świętości i cnoty we wszystkich swoich objawach. Ona jedna zdolna utworzyć to, co nazywamy szczęściem domowych ognisk. — Ona tylko umie otoczyć urokiem to, co nam tak miłe tutaj, kółko rodzinne, ona nam stroi w powaby i wdzięki, cnotę, ojczyznę, poświęcenie. Spytajcie Francuzów i Anglików, wyższych w wielu względach od nas, a i oni przyznają te prawdy: pierwsi z ubolewaniem, drudzy z chlubą.

Podnosząc zalety kobiet niechciałbym, by myślano, że piszę pochwały dla płci pięknej, znam i ujemną ich stronę. Chciałbym tylko poważną myślą otoczyć piękne główki — chciałbym im pokazać ważność kobiety przed Bogiem i światem; chciałbym, by kobieta wzrastała przejmując się wcześnie swoją wielką przed Bogiem i ludzkością misyą.

Ona jest reformatorką! — Ona dawczynią szczęścia! Ona twórczynią świetnej, niepokalanej przyszłości. I jak Najczystsza Marya była przyczyną odrodzenia się naszego w Chrystusie, tak kobieta w ogólności w całym rodzaju swoim jest najbliższą myśli Bożej powiernicą, by się ludzkość w cnocie, bogobojności i prawdzie odrodziła.

Dziewiętnaście wieków upływa, a ludzkość jeszcze w pieluchach drzymie! Lecz o kobieto! gdybyś poznała swoje wielkie powołanie i moc! świat stary, zgniły i skarlały, wnetby się czerstwy, piękny — z łaską Bożą przywróconą w pełni — odrodził. Ty nie wiesz jaką ci władzę dały nieba.

Spojrzyj na młode pokolenie, wypiastowane przez ciebie! a niechaj cię niemoc jego ducha, wyrodzenie się z siły przodków naszych, nakłoni do gorącego spełniania tego posłannictwa, które ci Bóg naznaczył. (***).

MARYA LUDWIKA GONZAGA.

Szkic historyczny.

Przez Autora

ANNY JAGIELLONKI.

Si fractus illabatur orbis —
(Choćby się świat miał zwalić).
Horacy.

Gdyśmy czytelniczkom naszym przedstawiali postać cichą Anny Jagiellonki, powiedzieliśmy między innemi, że z jej śmiercią zginął starożytny polskiego dworu obyczaj i cnota. Dzisiaj przychodzi nam przedstawić królowę, która najdzielniej przyłożyła się do ich upadku, która potężnym swym wpływem podkopała niejeden filar domowej tradycyi przodków, a która pomimo tego zasługuje na nasze podziwienie i z wielu względów na naszą wdzięczność. Nie jest to nikczemna, niemoralna, chciwa i wyrodna Marya Kazimiera, niejest to zimna i nielitościwa Eleonora, intrygująca przeciw własnemu mężowi, nie jest to wreszcie kobieta z rodzaju tych kilku beznagannych arcyksiężniczek, które tak się cicho sprawiały, że tylko przy ślubie i pogrzebie słychać o nich było; ale jest to kobieta z sercem wielkiem, z głową myślącą, z energią niezłomną, ze znajomością ludzi rzadką; kobieta, której się przebacza chętnie wszelką przewrotność i intryganctwo dla tego, że nigdy niezeszła w poczet tuzinkowych intrygantek, że zawsze utrzymywała się dążeniami swemi na piedestału wielkości. Marya Gonzaga, czy to umiejętnie kieruje gibkim jak wosk a upartym przecież Janem Kazimierzem, czy podczas wojny szwedzkiej podtrzymuje upadłe umysły, czy wreszcie buduje potężną kondejską partyę i rzuca rękawicę Lubomirskiemu, aby go zniszczyć w turnieju intryg, zabiegów, krętactw i matactw politycznych; Marya Gonzaga, mówię, zawsze jest kobietą niezwykłą, kobietą z duchem Semiramidy i Elżbiety angielskiej, z duchem nieulękłym przeciwnościami, niewzruszonym niebezpieczeństwami. Czyn jej każdy, choć przewrotny, usprawiedliwia po części to *patos*, właściwe historycznym znakomitościom, którego nigdy podłe i osobistym celom oddane dusze niemają, które to *patos* staje się

oraz przyczyną ich tragicznego upadku. Z Polski uczynić drugą Francyą — oto było patosem Maryi Ludwiki, a zapewnić następstwo tronu Francuzowi, najbliższem i najmilszem marzeniem. Gdy to marzenie zawiodło, gdy po śmierci Lubomirskiego nawet raz jeszcze przepadł projekt, tyle lat pracy kosztujący, tragiczna laska sprawiedliwości historycznej złamała się nad głową królowej Gonzagi. Powiedziała sama: *Ergo moriendum!* (Więc potrzeba umrzeć).

Było to za ostatnich dni stałego szczęścia i chwały Polski, za dni Władysława Wazy *). Król ten, posiadając niezwykłą trzeźwość polityczną, patrząc daleko na widnokręgu europejskim, spostrzegał, że alians jego ojca z Austryą, tak łatwowierny i dobroduszny, więcej straty jak korzyści przynosi, że w stanowczych chwilach gabinet możnej sąsiadki wszelkich dokłada starań, aby niedopuścić Polski do groźnej sobie w Europie przewagi, pomimo że ją o jedności celów i dążeń obu państw katolickich zapewnia. Jeszcze w r. 1635, świeżo po zawartym z Szwecyą rozejmie Sztumdorfskim, przeciw któremu Austrya wszelkiemi działała sposoby, Władysław postanowił obrócić na wspak całą politykę swego domu, zbliżyć się do Anglii i Francyi a małżeństwem z siostrą Fryderyka palatyna reńskiego, owego *„zimowego“* króla czeskiego, połączyć się z zawziętemi nieprzyjaciołmi cesarza. Duchowieństwo i świeccy senatorowie stanowczo się temu oparli, już to z przyczyny różnicy wiary, już to dla austryackiego dworu, który miał na nich wpływy. Jakoż nietylko że nieprzyszło do tego, co król zamierzył; ale Władysław ożenił się z Cecylią Renatą, córką Ferdynanda IIgo a siostrą Ferdynanda IIIgo.

Cecylia Renata umarła 1644 zostawiwszy syna, królewicza Zygmunta Kazimierza. Była to poczciwa, spokojna, rządna i ceniona pieniądz królowa. Król owdowiały liczył lat 49, był styrany bojami i mocno na podagrę cierpiał. Niespieszyło mu się zatem bardzo w nowe wchodzić śluby, wszelako polityka rozkazywać się zdawała. Alians z Austryą statecznie niepomagał Polsce, odbierał jej znaczenie europejskie. Przemożna pod rządami Richelieugo i Mazariniego Francya, z gniewem spoglądała na mocarstwo, które zdawało się nierozumieć głównych zasad politycznej równowagi, i zamiast potężnego mocarza straszyć, potakiwało mu tylko, a odrzucało naturalny alians z oddalonym a silnym mocarzem, który sprzymierzony z niem mógł całą środkową Europę trzymać w kleszczach swojej przewagi. Uwięzienie Jana Kazimierza w Marsylii, połączone z tak licznemi niegrzecznościami i przykrościami dla królewicza, które były tylko afrontem tronu polskiego: uwięzienie to było demonstracyą ze strony Francyi jak dalece przykro znosi dworu i narodu polskiego obojętność i zaślepienie. Poselstwo Gąsiewskiego, w celu uwolnienia królewicza do Francyi wyprawione, musiało z powrotem niemało wpłynąć na umysł króla i ugruntować w nim przekonanie, że nie Austrya; lecz Francya naturalną jest Polski poplecznicząką. Przypomniał sobie Władysław, że przed 11tu laty chwalił mu Jan Zawadzki, szlachcic polski a poseł na dworze francuzkim, wdzięki Maryi Ludwiki Gonzagi córki księcia Mantuy i *Newersu*, a nawet portret tej księżniczki pokazywał. Księżniczka mogła wtenczas liczyć lat szesnaście. Niezmiarkował się jednakże król Władysław; pamięć portretu żywo mu stała przed duszą. Po zatwierdzeniu małżeństwa przez oba dwory staraniem wojewody Denhoffa, Jan Opaliński herbu Łodzia, wojewoda poznański, i Wacław Leszczyński, biskup warmiński, wysłani zostali przez króla dla poślubienia mantuańskiej księżniczki.

Mantuańska księżniczka przeszła na dworze francuskim bolesne koleje. Dwa lata przed konkurami króla polskiego, spadły w Lugdunie na rynku głowy: koniuszego Cinq Marsa i p. de Thou, z których pierwszy drogim miał być sercu Maryi Ludwiki. Cinq Mars był prosty francuski szlachcic, ale dla pewnych nam niewiadomych przyczyn wzbił się wysoko w łasce Ludwika XIIIgo tak, że się poważył sprzysiądz, a nawet z zagranicą na strasznego kardynała sprzymierzyć. Zdaje się, że i Marya Gonzaga miała czynny udział w tym spisku. Ambitna i przebiegła, z przykrością widziała małe swoje na dworze znaczenie. Mantuańskie księstwo było czczym tytułem a Niwerneńskie niezdołało księżniczce małego zapewnić posagu. Chwyciła się więc gry ryzykownej, która już tyle razy zawiodła śmiałków w obec orlego oka kardynała *), chwyciła się jej, aby raz na zawsze rozstać się z pierwszą i ostatnią swego życia miłością.

Ale w sam rok śmierci Cinq Marsa umarł i kardynał w skutek straszliwej choroby, człowiek najzimniejszego serca i najniezłomniejszej woli. Za nim i Ludwik XIII do grobu pospieszył. Na tronie francuzkim siadło pięcioletnie dziecko Ludwik XIV pod rejencyą Anny Austryaczki i kardynała Juliusza Mazaryniego, następcy i dopełniciela wielkich dzieł biskupa Armanda. Tłumione długo żywioły szlacheckie i magnackie wystąpiły podwójną siłą, i przygotowały walkę, zwykle „Frondą“ nazwaną, walkę, która atoli była tylko tragikomedyą, po tragicznych i krwawych utarczkach Rychelieugo z możnymi. W takiej to chwili odnowionej szlacheckości paryskiego dworu przyjeżdża w r. 1645 do tego miasta wspaniałe poselstwo polskiego króla.

Mamy w pamiętnikach J. U. Niemcewicza obrzerne wiadomości o wjeździe i przyjęciu posłów, o zaślubinach przez prokuracyą księżniczki, wreszcie o całej podróży Maryi Ludwiki do Polski. Są to notatki usłużnych Francuzów i Francuzek, które gapiły się na polski przepych i bogactwo, starając się mimo tego wyśledzić w nas blisko Azyi zamieszkałych, brak cywilizacyi. Poselstwo wjeżdżało dnia 20go października przez przedmieście ś. Antoniego, poprzedzone ogromnemi poczty wojewody i biskupa w towarzystwie mieszkających w Paryżu Polaków, (których już wtedy podług polskiego pamiętnika było niemało), a witane przez gwardyę królewską pod rozkazami księcia Elboeuf i hrabiego Harcourt. Francuski poczet, jak zaręcza pani Motteville, tylko dyshonor sobie uczynił porównany z polskiemi.“ Materye ich (Polaków) sukień były bogate i piękne, farby ich tak żywe, iż nic na świecie piękniejszego widzieć niemożna było. Na strojach mnóstwo dyamentów błyszczało. W pośród tych wszystkich bogactw coś się znajdowało dzikiego; naprzykład: nie znają koszul (!?), nie sypiają na pościelach, ale tylko obwijają się w skóry niedźwiedzie i tak śpią (?!).

Takie miała JMPani de Motteville o Polakach wiadomości.

Zaślubiny, które z wszelkim przepychem odbyć się miały, dla trudności etykiety wśród tak wielkiego zgromadzenia osób dystyngwowanych, przybrały z rozkazu królowej rejentki charakter prywatny. Przyczyniła się do tego postanowienia zapewne i ta okoliczność, że książę orleański starał się był wprzódy o rękę Maryi

---

*) Jagiellona po kądzieli.

*) Niekreślimy obszernie tej strony biografii Maryi Ludwiki, znanej dostatecznie z sumiennie historycznego romansu Alfreda de Vigny p. t.: Cinq Mars.

Gonzagi, którą poniechał wprawdzie w chwili zawikłania z Cinq Marsem, która atoli obecnie tem cenniejszą mu się wydała, że potężnego króla miał szczęśliwym współzawodnikiem. Młoda księżniczka, czuła pewną dumę, pewien tryumf, dostąpiwszy dostojeństwa królewskiego." Opat de la Riviere faworyt księcia Orleanu, winszując jej, rzekł, że lepiejby było dla niej, gdyby z tytułem Madam, to jest żony księcia Orleanu pozostała we Francyi. „Pan twój, odpowiedziała dumnie nowa królowa, przeznaczonym jest, aby był bratem królewskim (Monsieur), ja zaś, bym była królową i przestaję na losie moim."

Jakoż piękna była w tym dniu, nie tak młoda już Marya Gonzaga, piękna dumą kobiecego serca, które wygorzało dla wszelkich łagodniejszych uczuć, a z francuskiego dworu, samą goryez tylko wynosiło. Była przeźroczysto-białą, mówi p. Motteville, bielszą niż zwykle, choć się delikatnością cery odznacza; kibić jej dorodna, ciała dosyć, oczy czarne i pełne blasku, włosy piękne, tegoż koloru. Rysy jej niemogły się zwać pięknemi, ale postać prawdziwie była królewską. Ubrawszy się, poszła pokazać się w dyademie królowej rejentce i Mazaryniemu, aby zobaczyli, czy z tą koroną, którą jej włożyli na skronie, jest jej do twarzy. Idącą w srebrnej haftowanej sukni, i w płaszczu z złotemi płomieniami, ujrzeli posłowie polscy czekający na mszę świętą, i wesołym powitali okrzykiem. Wnet odbył się ślub w kaplicy królewskiej, w przytomności samych członków familii i posłów. Osobę Władysława IV zastępował wojewoda Opaliński. Między przytomnymi był i książę Orleanu, który spotkał niezawodnie tryumfujące spojrzenie dawnej wybranej.

Już 27go listopada 1645 roku, w dwa miesiące po pierwszem poselstwie konkurencyjnem Dönhoffa, królowa wybrała się w podróż. Towarzyszyła jej w charakterze wielkiej posłowej francuzkiej, pani Guebriant, wdowa po sławnym marszałku francuskim. Jechały przez Niderlandy, Holandyę, Hamburg, Lubekę, Meklemburg i Pomeranią, prosto ku granicom polskim. Ostra zima przeszkadzała mocno podróży, uprzyjemnionej i urozmaiconej świetnem przyjęciem, które zapewne więcej tytułowi królowej polskiej, jak księżniczki de *Nevers* przypisać należy. Król wyruszywszy ku Prusom, napadnięty febrą i podagrą, wrócił się do Warszawy; prosił nawet, aby aż do jego wyzdrowienia królowa zatrzymała się w Laumburgu na granicy polskiej. Przykrą było królowej tak niedelikatna ciekawość męża. Wkrótce atoli cofnięto prośbę, i podróż Maryi Ludwiki zwróciła się na Gdańsk. Sekretarz pani Guebriant niemoże się dosyć naopisywać przyjęcia, jakie tam królowę spotkało, wspaniałości pocztów i hufców, rozmaitości bram tryumfalnych i wystaw allegorycznych. W jednej bramie, między innemi, Herkules i Atlas trzymający ją, byli tak grzeczni, że zaraz po przejeździe królowej obrócili się na drugą stronę, aby jej z oka niestracić. Panowie polscy zaczęli się garnąć na drogę królowej, zajeżdżać jej z kalwakatami i uprzątać trudności i niewygody podróży. Ale dopiero dnia 3go marca stanęła królowa w Falentach, zameczku królewskim pod Warszawą, dokąd zdążyło powtórne doniesienie o słabości króla i prośba, aby się zatrzymała. Tamże pospieszył poznać macochę swoją siedmioletni Zygmunt Kazimierz, synek królewski, przywieziony przez prymasa królestwa. Najdłużej kazał na siebie czekać, ówczesny wielki kanclerz, Jerzy Ossoliński, jako hrabia(?) rzymskiego państwa, przychylniejszy Austryi niż Francyi. Przyjechał z niesłychaną pompą w 40 karet i z niezliczonem mnóstwem hajduków i sług swoich.

Łatwo sobie wyobrazić, jak nużącemi i przykremi musiały być dla Maryi Ludwiki wszystkie te ceremonie, powtarzające się na przestrzeni mil trzysta; jak bolesną musiała być dla niej zwłoka, którą jej król nałożył, zwłoka ubliżająca miłości własnej każdej kobiety. Zaledwie 20go marca więc po 17 długich dniach odsiedzianej w Falentach kwaratanny, Władysław zdecydował się zobaczyć żonę. Wjazd do Warszawy niewyrównywał wspaniałościom gdańskim: przyjęcie było zaniedbane i mniej świetne, król kazał się zanieść w krześle do loży kościoła ś. Jana, gdzie swojej żony oczekiwał. Przyzierając się damom francuskim powstawał co chwila, biorąc to jedne to drugą za królowę, między innemi córkę pani Guebriant, która mu szczególniej w oko wpadła. O piątej nareszcie godzinie wieczór pojawiła się Marya Ludwika i podług ceremoniału uklękła przed małżonkiem. Władysław niemógł się wstrzymać od pewnego wyrazu niechęci: królowa niezdała mu się tak piękną, jak ją sobie wyobrażał. Miał szepnąć p. Bregy, posłowi francuskiemu: Taż to jest owa piękność, którąście mi tak zachwalali! Ceremonie tymczasem poszły swoim trybem; podagrzysta król suwany w krześle poręczowem, wziął w tymże krześle ślub z Maryą Gonzagą, której serce cierpło od najprzykrzejszego uczucia dla kobiety, uczucia *obrażonej próżności*.

Przy wspaniałym bankiecie król mało mówił do żony. Biedna Gonzaga szepnęła wtedy do ucha pani Guebriant: „Ach! lepiejby podobno do naszej Francyi powrócić". Jakby na dokończenie afrontu oddalił się obojętnie do komnat swoich, zostawiając obrażoną Gonzagę i zgniewaną panią Guebriant.

Staraniom tej ostatniej jednakże udało się nakłonić Władysława do jakiejkolwiek uwagi dla świeżo pojętej małżonki. Król zaczął żyć z żoną, a chociaż Marya niepotrafiła obudzić miłości w schorzałym, styranym bojami bohaterze, nieczytamy jednak o żadnych między nimi nieporozumieniach. W r. 1647 spotkał Władysława cios, który go stanowczo o ziemię powalił: była to śmierć pełnego nadziei Zygmunta Kazimierza. Czyliż dziwić się można, że stary ojciec odtąd nieczułym był dla świeżej żony, nieczułym dla wszystkich rozkoszy życia?

Z drugiej strony Marya Gonzaga, dotknięta boleśnie zaniedbaniem i obojętnością, szukała dla silnej swej duszy innego pożywiołu, pożywiołu dla ambicyi. Niebędąc żoną szczęśliwą, chciała być *królową*. To dążenie występuje jeszcze za czasów Władysława IV, w sprawie wojny tureckiej, forytowanej przez Jana Tripolo, posła Wenecyi. (*D. c. n*).

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

> Nie patrzą nadal takowe matki, które rozumieją, iż płeć delikatna, głos wdzięczny, taniec, strój, wiadomość muzyki, największym są dam zaszczytem. Wszystkie te zewnętrzne talenta zdatne są, piękne są; ale nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci wychowa, nie tańcem się dom rządzi. Trzeba do tych pracowitych obowiązków umysłu statecznego, myśli fraszkami niezaprzątnionych, mężnego serca.
>
> *Ignacy Krasicki*
>
> (w Panu Podstolim).

Do tej wielkiej prawdy, wypowiedzianej przez jednego z najznakomitszych pisarzy naszych, dodajmy i słowa ojca ś. Klemensa XIV: *On devént tou ou rien, suivant*

l' éducation qu'on reçoit". — Jakaż więc, stósownie do powyższych wyrazów uczonego papieża, ciąży odpowiedzialność na osobach, oddanych wychowaniu dziatek?! Jakżeż troskliwie powinna być zwróconą ich uwaga na wszystko, cokolwiek dotycze się dziecięcia!

Wychowanie dziatek jest-to, jakoby rola którą baczny gospodarz rozmyślnie, starannie i pracowicie uprawia, by plon pomyślny przyniosła. Ciężka praca i troskliwe zabiegi nie zawsze upragnione przyniosą skutki: szrony, deszcze, grady i posuchy niszczą nieraz nadzieje rolnika; — lecz powinien być spokojnym skoro czynił wszystko, cokolwiek w jego było mocy, a Boża wola inaczej zrządziła.

Wychowanie dziecięcia już od pierwszego głużenia jego rozpocząć się winno *), bo maleńkie i drobniuchne wszego bywają początki.

Nieraz zdarza nam się słyszyć, jak matka pochwala dziecię, że już przeżegnać się umie — że już nauczyło się zmówić: *Ojcze nasz* — i jak maleńkiemu z paciorkiem popisać się każe. Niewłaściwy to zaprawdę popis, a raczej profanacya wielkiego, świętego *Ojcze nasz!* Na to mamy wyborne Jachowicza **) bajeczki. Przez takie bezpotrzebne powtarzanie pacierza, dziecię nauczy się z obojętnością święte wymawiać słowa, gdy przeciwnie w młodziutkiej duszyczce wcześnie rozdmuchać potrzeba iskierkę cześci religijnej i wlać w nią wiarę w to, że mówiąc pacierz zasyła prożbę do Boga, do Ojca wszystkich stworzeń. Od pierwszego przeto rozwijania się sił umysłowych dziecięcia, powinna wyłożyć mu wszelkie znaczenie pacierza i prożby, które *Ojcze nasz* zawiera, w wyrazach jak *najprostszych* i jak *najprzystępniejszych* do pojęcia dziecka. Każda matka potrafi to zapewne najpraktyczniej, jeżeli nie najumiejętniej zastósować.

Miłość bliźniego jest jedną z pierwszych podstaw, (ba najpierwszą podstawą) wielkiej, zbawiennej nauki Chrystusa. I matki wielce nad tem czuwać powinny, by serce dziecka usposobiło się do wydania tego wonnego kwiatu. Miłość bliźniego do wszego dobra prowadzi. Serce nią zagrzane nie rozkrzewi w sobie: zawiści, chciwości, łakomstwa, nienawiści, zemsty i. t. d. i t. d. a jest zdolnem do cnót najpierwszych — do najszczytniejszych poświęceń.

Widziałam, jak maleńki chłopczyk, synek obywatela wiejskiego, ujrzawszy dziecię ubogie, boso, z pokaleczonemi nóżkami, płaczące rzewliwie, zdjął swoje nowe bóciki, a sam w pończoszkach do domu powrócił. Deszcz co tylko był padł, i malec przemoczył pończoszki. Matka zobaczywszy go, zaczęła łajać, że to swawola, już nawet rózgi szukała — a dziecię płacząc, milczało, aż dopiero ktoś ze służby wyjaśnił rzecz całą.

Matka zastanowiła się nagle — uznała szlachetny popęd serca, bo i trudno było nie uznać.

— A dla czegóż nie powiedziałeś mi od razu, co z bócikami zrobiłeś? zapytała synka.

— Bo . . . bom się bał, aby nie odebrano temu bosemu bócików . . . i wstydziłem się, odrzekł chłopczyk, zasłaniając oczy dłonią ***).

— To i czegóżeś się wstydził?

— Bo . . . bóciki były od mamy.

---

*) Ludzie powołania twierdzą, że wychowanie dziecięcia powinno się poczynać wraz z jego poczęciem, a nawet przed poczęciem. R.

**) Są w Krasickim i w innych bajki, których dzieci z pożytkiem uczyć się mogą. W Jachowiczu takżeby należało przebrać. R.

***) Otóż fałszywy wstyd nawet tam, gdzic się chlubić jest z czego. Fałszywy wstyd jest ważnym dla wychowawców przedmiotem. R.

Matka z całego serca, ze łzą w oku, przycisnęła synka do piersi.

Jakaż jej pociecha, jaka przyszłość w tem zajaśniała dziecięciu! — To przyszły obywatel kraju!

Niechajże więc dziecię przez miłość bliźniego, przez litość nad nędzą, raczej wszystkie ze siebie odda sukienki, aniżeliby obojętnie, z dumą, z uśmiechem lekceważenia odwrócić się miało od nędzy, nawet tylko od niedostatku.

Z miłością bliźniego łączy się i wiara w ludzi i *dobra wiara* — a z nią milej żyć na świecie. Zawodzi nas wprawdzie często, przebolimy niejedno złudzenie *) ale wszakżeż droga cnoty i zbawienia nie bywa różami zasadzona. Niewiara w ludzi rodzi gorycz — dobra wiara daje pociechę.

Pierwsze wyrazy, których dziecię wygłużyć nauczą, są zawsze: *bebe* i *cacy*. Pierwszy zastósowany do dziecięcia samego, jest zapewne dobrze zastósowanym, ale na tem nie poprzestają matki i niańki: siostrzyczką bywa *bebe*, braciszek, niańka — a w końcu mama i tata. Dzieciątko zaś naturalnie zawsze jest *cacy*. Gdy następnie młodszy urodzi się braciszek lub siostrzyczka, i dziecię mu swojego dotychczasowego tronu ustąpić musi, poczyna zazdrościć przybyłemu niewinniątku, kaprysi i złości się — albo też boleje w maleńkiem serduszku nad swem odtrąceniem z piedestalu, na którym zostawało dotąd — i zrodzi się w niem przykre uczucie doznanej niesprawiedliwości, gdy młodsze dziecię niezasłużenie nań *bebe* zawoła, a drudzy temu przyklasną.

Są to maleńkie na pozór, nic nieznaczące rzeczy, bezwpływowe niby, ale unikać ich zawsze jest lepiej **). Od najpierwszego, najlżejszego pojęcia, dziecię powinno być pouczane, ażeby czciło ojca i matkę, i nie używało dla nich wyrazu, którym coś nagannego oznacza. Nadto potrzeba jak najstaranniej unikać podrażnienia młodziutkiego uczucia, czy to pobudzaniem go do gniewu, czyli też do żalu — a szczególniej nie podżegać w niem zazdrości.

Ale nietylko dla rodziców, lecz i dla starszych osób — krewnych jako i obcych — dla wszystkich osób poważnych, powinno dziecię znać szacunek. Lekceważenie tam, gdzie szanować należy, kazi bardzo charakter, niekiedy na zawsze: „Bo czem garnek nawrze, tem skorupka trąci." Jest też powinnością wywołać w młodem sercu i utrwalić współczucie dla nieszczęścia, dla wszelakiej niedoli: chorych, obłąkanych i kalek. Widzimy nieraz jak wyśmiewają waryatów, jak przedrzeźniają cierpienie i kalectwo, niestety! Jest to zgroźliwe i bolesne — a przywodzi na pamięć słowa Gustawa w *Dziadach*.

O, dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinnyście!
Słuchajcie, znałem pewną kobietę za młodu,
Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu!

. . . .

Ja się raz tylko, *raz tylko* zaśmiałem!
Kto wie, jeśli nie za to? . . . Słuszne sądy Boże!

Dzieci wyśmiewają się, bez zastanowienia się nad tem, co czynią — lecz starsze osoby przestrzegać i dobry przykład z siebie dawać winny.

Narowy przemieniają się w wady. Nawyknienia drugą stają się naturą.

---

*) Na to jest rada w piśmie, które każe być łagodnym, jak gołąbek, a roztropnym jak wąż. R.

**) Nawet należy. R.

Nader szkodliwą rzeczą jest chwalić dziecko w jego obecności — zwłaszcza też z urody. Matki niechaj tego przestrzegają jak najtroskliwiej — i, jeżeli kto tę nierozwagę popełni, powinny zaraz powiedzieć: że to żart tylko, łaska, grzeczność. Z początku posłucha dziecko tego *komplementu* obojętnie, później chętnie go posłyszy; a jeszcze później zapragnie usłyszyć; obudzi się w niem próżność, zacznie spoglądać w zwierciadło i bawić się twarzyczką swoją; będzie się muskało i mizdrzyło, rzuci się do strojów — i buzia jego i figurka wyłączne zrodzą w niem zajęcie.

A jeszcze też złe największe gdy matka — przez własną próżność — powtarza przy dziecku, że je z piękności chwalono! gdy wynosi się z tego i pieści za te czcze pochwały gagatka. Taka matka dziecka swojego nie kocha prawdziwie — raczej *kocha się* w niem tylko, to jest: *samą siebie* — bo jej pochlebia, że *ładne* ma dziecię. Z chłopca w taki sposób chowanego wyrośnie lalka nieznośna i śmieszna: *lala* bezużyteczna dla społeczeństwa, jeżeli sam — za łaską Bożą — nie opamięta się z czasem i nie skoczy po rozum do głowy — zrzuciwszy z niej *papiloty*. — Z dziewczynki wyrośnie *laleczka*, bez serca, bez myśli. Zwierciadło i stroje będą dla niej wszystkiem; zapragnie ciągle nowych hołdów i starać się o nie będzie *kokieteryą*. Stanie się zalotną, chciwą uwielbień — i zasłuży w końcu na miano..... przewrotnej kobiety: podepce obowiązki najświętsze — i będzie matką najgorszą...

Szanowny Rej z Nagłowic powiedział: „Panie matki około dzieweczek swoich powinny pilność mieć, bo to jest naród mdły a na wszystko snadnie ułomny“.

Zwykle to: *małe złego bywają początki*!

Dziewczynki nader łatwo zamiłują stroje, i powiedzmy — łagodząc zarzut — że to pochodzi może z *poczucia piękna*, wrodzonego niewiastom; kwiaty, barwy, zwierciadła, zajmują już dziecię, gdy mu je pokażesz, wyciąga ku nim rączki, śmieje się i klaszcze języczkiem.

Jeżeli więc matka już na młodziutką dziewczynkę przeraźne zacznie wkładać stroje, to dziecię do nich nawyknąć musi, i coraz nowych i ładniejszych zażąda — z czego wyrodzi się próżność niepohamowana i pociąg do zbytków. Zrodzi się także i uczucie zazdrości, gdy u rówieniczek barwniejszą zobaczy sukienkę, wstążeczkę, lub inny jaki płatek. — Widzimy nieraz maleńkie dziewczynki w sukienkach jedwabnych: różowych, niebieskich, w kratki i paski, w sutych haftach i wykoronkowane; w kapelusikach z piorami i w szerokich krynolinach; dziewczątko tak przystrojone — *zkarykaturowane* — możnaby niemal powiedzieć — pawi się w tych bławatach i staje się istną bańką mydlaną: barwną na zewnątrz, a wewnątrz próżną.

I *Małgorzatka* w *Szopce* ma także przeróżne fatałaszki na sobie.

Niewiasta — panienka — powinna dbać o ubranie swoje — ale niechaj to głównie na świeżości i zręcznym kroju sukienki zasadza. Smak dobry zaleca kobietę — i to właśnie poczuciem piękna zowiemy. Lecz smak dobry może się w płócienku *) objawić, a nie potrzebuje atłasów — mianowicie też widzimy go w doborze kolorów, w zgrabnem upięciu wstążeczki i t. d.

Główka powinna być uczesana gładziutko; sukienka niechaj będzie z perkaliku, z muślinku, lub wełniana; kołnierzyk i rękawki bez haftów mozolnych, bez koronek, ale białości wzorowej; bóciki czarne i zgrabne, — czyliż każda dziewczynka w ten sposób ubrana nie wyda się ładniej i wdzięczniej od takiej *Małgorzatki* na wyższą skalę?

Zeszłej wiosny, w towarzystwie dość licznem dwie młodziutkie znajdowały się panienki: obiedwie po raz pierwszy w tak dużem wystąpiły zebraniu. Jedna ustroiła się w sukienkę materyalną niebieską, z tuniką, oszytą aksamitem i koronką czarną, szeroką; stanik podobnież był przybrany i rękawki krótkie; na ręce miała złotą braseletkę, na piersiach broszę, a w uszach ciężkie kulczyki; na głowie róże pąsowe z liśćmi z czarnego aksamitu ze złotą obwódką. Druga panienka włożyła sukienkę muślinową białą, w lilla rzucik; szarfę takąż samą, oszytą wąską rurkowaną falbanką; podobnież były przybrane rękawki i stanik. Na szyi i ręku miała czarne aksamitki, spięte stalowemi guzikami; na głowie, ślicznie uczesanej, wianek ze świeżych fiałków. — Ta druga ogólny uzyskała poklask *), i podobno, że to skromne wystąpienie na jej całą wpłynie przyszłość.

Z chłopczyków robią także niekiedy cudaków, dziwotworne na nich wkładając *kostjumy*. Alboż nie zabawnie wygląda chłopczyk we fraku i z głową *ufryzowaną*? — Gdy dzieciak zacznie na zewnątrz głowę *fryzować*, to ją niekiedy *ufryzuje* zarazem i wewnątrz. I dzieci tak postrojone — dziewczęta i chłopcy — to niby kandydaci do teatru *maryonetek*. — O, lepiej to stokroć było, gdy:

Chłopak podpasany łyczkiem i rzemyczkiem
Rósł na barszczu czeladnym, na kluskach i kaszy,
A uganiał na ślep po gromadzkiej paszy! **)

JASNOWIDZĄCA. ***)

Ustęp z moich wspomnień,

przez

Fr. Wiesiołowskiego.

Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których
się nie śniło naszym filozofom.
(Szekspir).

Było to w r. 1814, gdy po całej Polsce rozeszła się wieść o jasnowidzącej, pani Karczewskiej, żonie mego brata ciotecznego, Floryana Karczewskiego, zamieszkałego w gubernii radomskiej, we wsi Wielkie zwanej. Dziwne to było zaprawdę zjawisko! Osoba ta, będąc jeszcze panną i bawiąc w domu Patrycego Karczewskiego, brata, jej teraźniejszego męża, popadła w mocną chorobę; wszelkie starania wezwanych lekarzy były nadaremne, wpadała ona w jakoweś spazmy i nerwowe cierpienia podobne do epilepsyi. — Jeden z braci Karczewskich Cyryak, oddający się sztuce lekarskiej z zamiłowania, i wielce w tym względzie oczytany, wpadł na myśl, aby ją magnetyzować — próba powiodła się doskonale, wkrótce poczęła zasypiać snem magnetycznym, i sama przepisywać sobie kuracyą, wcale przykrą i heroiczną. Kazała sobie bowiem zrobić zawłokę pod sercem i utrzymywać ją przez dłuższy czas w ropieniu, prócz tego przepisała rozmaite leki, co gdy wszystko wykonano, pacyentka ta, opuszczona od lekarzy, zupełnie przyszła do zdrowia i poszła za mąż. —

*) Nawet w domowem płótnie, które, gdyby była skrzętność, przeszłoby fabryczne. R.

*) Mogło się obejść bez poklasku; raczej należało dać pierwszej, właściwie jej matce, poznać niestósowność stroju. R.
**) Było niezawodnie lepiej; lecz niezupełnie dobrze. R.
***) Artykuł umieszczamy w piśmie naszem, jako przedmiot psychologiczny. R.

Pomimo wyzdrowienia, jednak Cyryak nie przestał ją magnetyzować. Skoro zaś poczęła dawać rady rozmaitym chorym, wnet jęli się zgłaszać do niej chorzy z całego kraju, począwszy od borów litewskich, aż po stepy ukraińskie i po Karpaty.

Dziwna zaprawdę rzecz, jak szybko wieść ta rozbiegła się wszędzie. Mając żonę od kilku lat tkniętą paraliżem, po bezowocnych wszelkiego rodzaju kuryacyach, umyśliłem i ja udać się do niej. Wyjechaliśmy, pamiętam około 10go lipca, a po dwudniowej podróży stanęliśmy w Wielkiem! Było to nad wieczorem, kiedy, przyjechawszy w Sandomierskie piachy, przez wspaniałemi drzewami zarośniętą aleję wjechaliśmy na podwórzec tego gościnnego, szlacheckiego dworku. Tu zastaliśmy kilka, czy zgoła kilkanaście powozów, bryczek i pieszego ludu bez miary. Wyglądało to tak, jak kiedy gdzieś ma się odbywać licytacya lub pogrzeb jaki.

Nabitą mając głowę temi cudami, niecierpliwy wyskoczyłem z powozu, by przedzierając się przez tłumy stanąć już u zamierzonego celu. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego tam w pierwszej chwili doznałem. W dużym salonie, pełnym osób wszelkiego wieku, płci i stanu, uroczysta panowała cisza, wszystkie oczy i uszy z tchem zapartym wytężone były ku kanapie, na której obłożona poduszkami siedziała osoba młoda, niezwykłej piękności z rumieńcem na licu, z kruczym włosem, z oczami szczelnie zamkniętemi. Przy stole, przed kanapą siedział mąż jej, człowiek pięćdziesięcioletni, dawny wiarus Napoleoński, w r. 1831 szef szwadronu jazdy sandomirskiej, własnym kosztem wystawionego; a więc człowiek nie nader łatwowierny i nie zbyt skłonny do exaltacyi (?). Otóż trzeba było widzieć tę postać żołnierską, z łysiną na głowie, i z dobrze szpakowatym już wąsem; z jakiem zachwyceniem, z jaką pokorą, z jakiem, że tak powiem nabożeństwem, trzymając pióro w ręku by spisywać to co usłyszy, śledził on każdego słowa wydobywającego się zwolna, dość cicho, ale wyraźnie z piersi swej ukochanej Sybilli. Oprócz męża, siedział przy stole i spisywał protokół na drugą rękę, inny mężczyzna, a gość w domu, profesor z Sandomierza, Leń. Od czasu bowiem, jak poczęła ona na tak obszerną skalę radzić chorym, prowadzono z największą akuratnością na dwie ręce protokół wszystkich rad i wszystkiego tego, co w snach magnetycznych mówiła.

Gdyśmy tam zajechali byli, zaszła już od pewnego czasu zmiana w jej stanie, bowiem przedtem sny magnetyczne występowały tylko za wolą i pod kierunkiem magnetyzującego ją Cyryaka Karczewskiego, teraz emancypowała się niejako z pod tej opieki, a sen nachodził ją od czasu do czasu peryodycznie bez żadnej pomocy. Za każdym razem przepowiadała ona dzień i godzinę w której następnie zasypiać miała, i nie trafiło się, aby kiedy uchybiła.

Lecz, że mnóstwo zjeżdżało się ludzi, tak iż, pomimo wszelkiej gościnności, pomieścić ich we dworze było nie podobna; zamieszkiwali oni domy po wsi, jakby w jakim zakładzie kąpielnym, oczekując chwili, w której przyjdzie kolej na nich. Trwało to czasem dnie i tygodnie całe, przez który to czas goście oddawali sobie nawzajem wizyty, robili przechadzki, zawiązywali pomiędzy sobą znajomości, zapraszali się na herbatę itd. Dwór w Wielkiem stał na wzgórku, dominując nad wsią całą. Karczewski przez blaszaną tubę dawał znać gościom, gdy żona zasnęła. Z jakąż niecierpliwością oczekiwano hasła tego!

Właśnie w czasie mojego tam pobytu nieustanna lała słota, skoro więc odezwała się tuba, wszystko, co żyło, zaprzęgało do powozów, bryczek i wozów, spiesząc po bezdennem błocie dla odebrania wyroku. Trafiało się często, iż wszystkie te matedory, wszystkie te wystrojone damy powracały z niczem, bo jasnowidząca, pomijając wszystkie, przywoływała jakiego ubogiego kalekę, jaką nieznaną żydówkę, o której obecności w Wielkiem nikt, a nawet ona sama na jawie nic nie wiedziała. Jednocześnie z nami byli tam znany autor Leszek Dunin Borkowski z żoną i matką, Kornel Ujejski, jeszcze natenczas młodziutki; jakaś pani znakomita z Wołynia, pewien kasztelan z Warszawy, kilku lekarzy, księży, oficerów rosyjskich itd. Rady odbywały się niekoniecznie w przytomności chorych, wielu przywoziło tylko garstkę włosów, ja sam miałem ich ze cztery. Gdy przyszła kolej, jasnowidząca brała włosy do ręki, a położywszy je na dołku podpiersiowym, odgadywała z nich z równą trafnością chorobę, jak gdyby pacyenta miała przed oczyma.

Z powodu, że wszystko to, co tu mówię, mogłoby się wydawać przesadzonem, umyślnie zacytowałem przytomne tam osoby, odwołując się do ich świadectwa. Pomimo dawane rady, nie wszystkie pożądany otrzymały skutek, czego i moja żona doznała. Przecież pewna, że patrzałem tam na rzeczy zdolne poruszyć i najzimniejszą wyobraźnią. Oprócz tego co na własne oczy widziałem, zastałem tam stosy spisanych protokułów, widziałem ludzi wiarogodnych i światłych, którzy mi rozliczne fakta cytowali. Sama nareszcie osobistość p. Karczewskiej, i jej męża, którzy nietylko żadnych zysków ztąd nie ciągnęli, ale przeciwnie z niemałym kosztem i oderwaniem się od własnych interesów przez długi czas, nie będąc panami w własnym domu, oddawali się istotnie z poświęceniem posłudze cierpiącej ludzkości, nie dozwala przypuszczać żadnej szarlataneryi, lub udania. Jedno, co mógłbym przypuścić, jest to, że gdy sny magnetyczne poczęły następować bez kierunku magnetyzera, zaczęły wraz majaczyć i bujać wyżej nad zakreśloną sferę, co zaczęło już przechodzić niejako w magnetyczne delirya. I tak częstokroć w obecności mojej, a bawiąc na miejscu przez dni kilkanaście, miałem sposobność widzieć co się dzieje, jasnowidząca wpadała w jakąś religijną extazę, wtedy bladła, oczy zapadały jej w dół, twarz przybierała jakiś niewypowiedziany wyraz idealny, jakby z marmuru wykuta. Wśród najgłębszego snu klękała, ręce kurczowo składając do modlitwy, i czasem cicho, czasem na głos improwizowała pacierze. To znów rozpowiadała, że widzi po nad nami unoszące się duchy białe, szare i w czarnym kolorze. Za jednych kazała odmawiać pacierze, do drugich kazała się modlić o przyczynek do jakiejś światłości, pod którą *Istotę Najwyższą* rozumiała. Gdy dziś z zimną rozwagą zastanawiam się nad tem wszystkiem, łatwo mi jest nazwać to szałem, chorobą czy delirium jakiemsiś. Wówczas, przed laty kilkunastu, z młodzieńczą wyobraźnią, z sercem świeżem, z wiarą żywą, padałem na jej rozkaz na kolana, a ona w swym zachwycie prawiła nam, jak tuż tuż po nad głowami naszemi unoszą się duchy, a nad nimi świeci to *światło światłości*. Wyznaję, iż zimny dreszcz przechodził mi przez szpik i kości, włosy stawały mi do góry, a taka jakaś napełniała mnie lubość i trwoga, że były to chwile, w których sam czułem się być oderwanym od ziemi, by w wyższych być sferach.

(d. c. n.).

Polki literatki.

Dramatyczne prace.

Aż po wiek 18ty występuje tylko jedna autorka dramatyczna *Franciszka Urszula*, urodzona 1725, za-

mężna od r. 1725 z Michałem Radziwiłłem wojewodą, zmarła 13 maja 1753 r. Napisała ona szesnaście sztuk, które wydał *Fryczyński* r. 1754. Mówiono o tych sztukach wiele: *(Bentkowski, Sowiński, Chłędowski, Jaszowski, Zieliński, Wójcicki)*, nawet więcej niż zasłużyły na to, bo pisane są najnieudolniej, przerabiając nawet *Moliera* zatarły typ geniuszu autora. Sztuki te przypominają (formą tylko) teatr hiszpański i dzisiejszy dramat. Ludzie rodzą się w ciągu aktu na scenie, dochodzą sędziwej starości i umierają. Przestrzeń czasu i odległość nie mają u autorki granic, i to jest osobliwą cechą jej pióra, tem wyprzedziła wiek swój, rozprawiający za Arystotelesem o trzech jednościach. Miała to być kobieta nauki gruntownej, znała pismo święte, prawo cywilne, kościelne, statystykę, geografię, ale nie była poetką. Mimo niezgrabnych rymów, mimo niedorzecznej osnowy jej dramatów, godną jest wyszczególnienia dla tego, że jest jedyną Polką piszącą dramata po owe czasy, i że jest pierwszą, która utrzymywała scenę polską w Nieświeżu i sama z dziećmi swemi na niej grywała.

W ostatniem dopiero pięćdziesięcioleciu występują autorki sceniczne. Liczba ich 25 ginie w tłumie czterystu pisarzy scenicznych, przemyślny izraelita wyrachowałby zaraz stosunek, iż damy są szesnastym procentem liczby całkowitej w ruchu dramatycznym. Jeszcze gorszy stosunek co do tłumaczeń zachodzi, bo 25 kobiet, które tłumaczyły dramata, giną w armii tysiąca tłumaczy.

Między autorkami, nie ma ani jednej, którejby utwory pozyskały trwałą wziętość na scenie. Wina to złej budowy dzieł scenicznych. Jeżeli gdzie, to w dramacie trzeba być zwięzłym, logicznym ściśle, wyrachowanym. O to najtrudniej u autorek; w nich uczucie, tkliwość serca wypowiadają wszystko co myślą i wiedzą, szczebiotliwość, jak wszędzie tak i tutaj, trudna do pohamowania, a duchowi potrzebną jest sznurówka, któraby krępując i ściągając ślicznych zarysów formy, uwydatniała tem mocniej istotne jej powaby. O tę kształtność formy rozbija się wszystko. Talent rzeczywisty nie lęka się trudności form, bo on nie przełamuje formy, ale ją urabia, urabia zaś nie w dowolny bezkształt, ale tworzy z niej, wiedzion uczuciem piękna, harmonijną całość nawet przy pozornym nieładzie. Mierny talent widząc to, łamie formę, nie umie jej tworzyć, dla tego składa sceniczne fantazye, niedorzeczne potwory (jak np. pseudo poemata: Auto da fé *Norwida*, Lesław *Zmorskiego*, Jordan *Żeligowskiego)*, a nie stworzy dzieła scenicznego. W tę drogę wstąpiła, ale ze znamienitym zasobem zdolności (?) *Jadwiga Łuszczewska*. Jej fantastyczne sceny: *Tajemnice owoców*, *Tomira*, są pod względem scenicznym nader ubogie, dziwnie wygląda poemat ubrany w dyalog bez ruchu, obumarły. Śliczny wiersz, śliczna myśl, martwieją, gdy je wypowiadają usta bez akcyi, bez nacisku. Łuszczewska podała bardzo ładny monolog z dramatu *Stanisław Lubomirski*, pisze też dramat *Jadwiga*. Bodajby uwzględniała sceniczność, a zbuduje nie połowiczne dzieło, jakiem jest *Odyńca* Barbara lub Felicyta. Pisarze dramatyczni, nie uwzględniają potrzeb scenicznych dla tego, że nie umieją w tak szczupłych ramach przeprowadzić myśli wielkiej. Nie sądźmy, że oni nie chcą umyślnie zastósować się do sceny, gdyby zdolni byli do tego, stósowaliby się, i pisaliby dramata sceniczne. *Łuszczewska* ogromną wiedzą (?) i górującą siłą rozmysłu, mogłaby powstrzymywać fantazyą(?!!), potrafiłaby może nakreślić prawdziwy sceniczny dramat. Czy to uczyni? czas pokaże.

Pomiędzy scenicznemi dziełmi, wyróżniają się *Komedyjki dla dzieci*. W tej mierze jest literatura nasza niezmiernie ubogą. Prawie nic nie mamy. To co dotąd mieliśmy, to sama lichota. *Prokopowicza* zbiór komedyj dla dzieci, jest prostem tłumaczeniem; prac *Niedzielskiego Szymona* (Dzieci aktorowie kom. grana w Krakowie), i *Krasickiego Marcina* (Nikodemek kom. 1838), nikt nie zna, całą więc niemal literaturę sceniczną dziecinną stanowią utwory kobiet.*) Przodkuje im *Klementyna Hofmanowa*. Któż z młodych nie zna ślicznej komedyjki o Tadeuszu Czackim p. n. *Tadzio*. Ileż to razy grywano po prowincyach i w kółkach rodzinnych drobniuchne komedyjki: *Psota, Podwieczorek, Odjazd nauczyciela*. Wydane one są w r. 1838 wraz z komedyą *Młody mąż*.

(D. c. n.)

*) Komedyj ks. Bohomolca pominąć nie wypada. R.

WIADOMOŚCI
z działu nauk przyrodzonych, odnoszące się do kobiecego gospodarstwa.

Szanowny redaktorze!

W peryodycznych pismach*) można się do woli naczytać o wychowaniu i powołaniu i obecnych obyczajach niewiast, i widać że się świat zajmuje moralną stroną płci pięknej, bo niedawno nawet regestr znanych z piśmiennictwa Polek z kategorycznem wyliczeniem ich prac nietylko w literaturze pięknej, ale nawet w filozofii i naukach matematyczno-astronomicznych w pewnem czasopiśmie polskiem był umieszczony (? R.) Czytając właśnie te znakomite imiona, wpadłem na pono dość ciekawe zapytanie: dla czego ów szperacz, któremu odgrzebywać na pół zapomniane pisma i odczytywać, a może nawet dopiero dochodzić imion wzmiankowanych autorek się chciało — nieumieścił takich prac, w którychby podane były sposoby doskonałego pieczenia chleba, robienia wybornego podpiwka, octu, a nawet owocowego wina, krochmalu, mydła, bielenia płócien domowej roboty etc. etc., słowem, czemu nie pomyślał o rzeczach, które uczą, jak się niewiasty do utrzymania, ba! więcej jeszcze, do przysporzenia domowego dostatku przyczynić; a marnotrawstwu ojcowskiej fortuny i rozbryzgiwaniu się mężowskiej pracy zapobiedz potrafią — byleby zechciały.

Dziwne to pytanie! — zaraz mi miasto odpowiedzi błysło w wyobraźni tysiąc różnobarwnych uśmiechających się ślicznych oczek, jakby chciały wyrzec: Czyś człowieku z tamtego powrócił świata, że cię się czepiają myśli, które pokolenia teraźniejszego ani we śnie nie turbują? Natychmiast przedstawiły mi się obok tych powabnych oczek śliczne bielutkie rączki, a u każdej po pięć, w delikatnych rękawiczkach wypielęgnowanych, paluszków, i pomyślałem sobie: Niech tam będzie jak chce, to przecież te zgrabniutkie rączusie, nietylko do tego stworzone być muszą, aby kokardki i gładko wyplecione i utrefione warkocze i koki zręcznie upinały, i karteczki francuskich wertowały romansów, bo one koniecznie do jakiegoś szerszego i pożyteczniejszego przeznaczone działania; niechcąc już dłużej tej imaginacyjnej prowadzić polemiki, zapieczętowałem moje ostatnie zdanie wspomnieniem, które mi jeszcze z dziecinnych lat pamięć odświeżyła; że odjeżdżając do szkół z domu wiejskiego moich rodziców, zawsze byłem w obawie, aby w drodze się coś niezaroniło, bo tyle różnych napakowano do bryczki spiżarnianych ingredyencyj; a to wszystko na prezenta dla p. X., dla p. Y. etc. etc. Z miasta zaś jadąc do domu na święta lub wakacye, oprócz żelaza na podkowy, jakiegoś gospodarczego naczynia, którego na wsi niedostał — lub rumbarbarum, senesu i manny kalabryny do domowej apteczki, niewoziłem żadnych innych sprawunków. Dziś niestety, niema co wywozić z domu do miasta, bo chleb, bułki, słonina, nawet drób, masło, jaja, słowem wszystkie wiktuały, prócz mleka i czeladzkiej strawy, z miasta się za gotówkę sprowadza. Ja też już i niedążę na wieś, bo to samo mam w mieście, prócz świeżego powietrza, którego po za miastem czasem zaczerpuję. Owóż i dziś przy świeżym mrozku idąc sobie spacerkiem koło kolei, co nam wygodną komunikacyę za gotówkę ułatwia, powziąłem ochotę zaproponować Ci Szanowny Redaktorze, czybyś niechciał czasem — niedługo, bo nudnego, lecz pomimo tego pożytecznego artykuliku z zakresu gospodarstwa kobiecego umieścić w twojem piśmie. Wszakże rozmaitość bawi. Teraz zima, to niejedna główka niewidząc kwiatów i nieczując ich wabiącej woni, siędzie obok

*) Których mianowicie? R.

ciepłego piecyka, i dla odmiany przeczyta rzecz o fermentacyi, a przeto nie o kwitnieniu, ale o rozkładzie, a zatem o psuciu się tego czarującego ustroju natury. Ależ właśnie w ustawicznej przemianie składu cząstek organicznych, rozstrajanie się związku jednych ciał, jest zestrajaniem się ich pierwiastków w nowe osnowy.

Już to po kucharskich książkach bez liku znajduje się recept, które nieraz są przyczyną zpotęgowanego humoru u gościnnej gosposi konsumujących biesiadników, a to z powodu zadowolenia pani domu, że się babka ślicznie wydarzyła, lub sos do karpia nieporównany. Takich recept wypisywać niebędę, tylko ogólne pojęcia z zakresu technologii kobieco-gospodarczej tu umieścić zamyślam, które wielu damom znane, ale niektórym może nieznane— i u tych ciekawość do bliższego badania w tej materyi obudzą.

Wnioskując, że chemiczne pierwiastki w pospolitych pojawiające, się związkach nikomu nie obce, (szczególniejsze uwagi, do tych ciał się odnoszące, w przypiskach umieszczać będę), zacznę rzecz najpierwej od procesu podczas rozkładania się organicznych związków.

Kiszenie, gnicie, butwienie.

W organiźmie roślin i zwierząt wyradzają się z pierwiastków pożywnych połączenia pewnej formy i własności, a to w skutek siły żywotnej, pod wpływem ciepła i światła; albowiem pierwiastki te, nigdyby we wzmiankowane połączenie wejść niezdołały, gdyby tylko siłom powinowactwa uległy. Atoli ta sama siła żywotna wstrzymuje także każde organiczne połączenie od niszczącego wpływu kwasorodnego powietrza, (kwasoród zwie się od lat kilku w Warszawie *tlen*), i sprawia, że to połączenie istnieje. Lecz i po zniknięciu siły żywotnej pierwiastki te, do połączenia organicznego wchodzące, pozostają jeszcze w tym samym układzie, w jaki je czynność siły żywotnej wprowadziła; a to częścią w skutek własnej bezwładności, a częścią także w skutek chemicznego przyciągania, jakie te pierwiastki na siebie wzajemnie wywierają. Przeto forma i własność organicznego ustroju póty zostaje niezmienna, póki podwyższenie temperatury lub wpływ jakiej zewnętrznej materyi niesprowadzi zmiany w układzie i we wzajemnem przyciąganiu się rzeczonych pierwiastków. Lecz w takim przypadku muszą pierwiastki ulegać naturalnym siłom swego powinowactwa, kupiąc się i układając w nowe połączenia pojedyńczych kształtów w ten sposób, że cały organiczny ustrój na więcej połączeń się rozpadnie — a zatem przemianie ulegnie.

Przemiana, jakiej osobliwie roślinne, cukier zawierające, materye pod pewnemi warunkami ulegają, dwojakiego bywa rodzaju: Jedna zwie się kiśnieniem *octowem*, druga zaś *winnem*. Jeżeli składowe części takiego ciała, od organizmu odłączone, w skutek wpływu jakiejś innej materyi przemianie ulegną, wtenczas powstaje albo *kiśnienie*, albo *gnicie*. Jeżeli podczas powolnego rozkładu skrzepłego ciała organicznego, powietrze atmosferyczne znacznie działa, wtedy zwykliśmy mówić o *butwieniu* czyli *próchnieniu*.

Czem więcej zasadniczych części w pewnem się znajduje połączeniu, i czem większą jest liczba pojedyńczych atomów, jakie do każdej ze składowych części wchodzą; tem lepiej uskutecznia się rozkład takiego połączenia. I dla tego też organiczne ciała, w saletroród i siarkę obfite, jako to: białko, ser, krew, mięso etc., bardzo się łatwo rozkładają i po zniknieniu siły żywotnej w krótkim przeciągu czasu w zgniliznę przechodzą, skoro tylko woda przy temperaturze wyższej nad 0° R. w dostatecznej obecna jest ilości, a kwasoród powietrza do martwego ciała wolny przystęp znajduje. Woda bowiem nietylko dla tego podżega proces rozkładu ciał organicznych, że cząstkom wolny ruch ułatwia; ale nadto dla tego działa silnie wpływem swoich składowych pierwiastków, iż jej wodoród objawia znaczny pociąg do saletrorodu, jej kwasoród zaś do węglorodu ciał organicznych. Bez wody staje się gnicie niemożliwem. (Dla tego siano, zboże, rozynki, figi, skóry zwierzęce, ryby i t. p. zwykliśmy na wolnem suszyć powietrzu, chcąc je od gnicia uchronić; owoce, rzepa, etc. także się suszą; zboże, wilgotnie zebrane, na tak zwanych laskach przed zachowaniem wyschnąć musi.

Ciepło nietylko osłabia spojność cząstek, ale nadto podwyższa chemiczny pociąg pierwiastków do kwasorodu; bo przy 0° i pod 0° ciepła, gnicie niema miejsca, i zaczyna się dopiero przy kilku stopniach nad 0°, wzmagając się tem silniej, czem bardziej temperatura wzrasta. Dla tego w lodzie i śniegu niezmieniają się ciała zwierzęce nawet przez przeciąg lat; znajdywano bryły lodu, w których przedpotowe zwierzęta zasklepione tak czerstwo się przechowały, jak gdyby dopiero niedawno były życia pozbawione. W lecie zaś zwykliśmy mięso, mleko, kuchenne warzywa i t. p. w lodowniach albo głębokich umieszczać piwnicach, gdzie niższa jest temperatura. Podczas letnich ciepłych dni, przechodzi mięso bardzo chyżo w zgniliznę.

Kwasoród powietrza sprowadza — mocą swej silnej chemicznej działalności jaką ku największej liczbie ciał zasadniczych objawia — najpierwsze zniszczenie pierwotnego układu pojedyńczych składowych części ciała organicznego; z tego to powodu materye saletroród w sobie mieszczące, a choćby przez krótki tylko czas na działanie powietrza atmosferycznego wystawione, prędko ulegają rozkładowi, który jeszcze nawet wtedy trwać zwykł, gdy dalszy przystęp powietrza zatamowany. I tak: Sok z winogron posiada białko roślinne, a przecież dotąd nieulega przemianie, dopóki wierzchnia osłona (błonka) jagody niedozwala zetknięcia się wewnętrznego płynu z powietrzem —owszem wyschnie i przedstawi się jako rozynek. Owoc ostrożnie, bez uszkodzenia skórki i bez nagłego roztrzaśnienia lub ugniecenia z drzewa zdjęty, może się długo konserwować w stanie świeżości. Po rozkrojeniu jabłka lub ziemniaka, okaże nam się w przekroju poprzednio biała powierzchnia za parę minut brunatną; toż samo spostrzedz można przy najmniejszem uszkodzeniu kory lub listka jakiejkolwiek rośliny. Organiczne ciała dadzą się jednak od zgnilizny zachować, usunięciu od nich atmosferycznego powietrza; co się często uskutecznia przez wyciskanie tegoż powietrza tłoczeniem lub innym sposobem: jak n. p. rozynki, daktele, figi zwykle w naczyniach mocno utłuczone, śledzie zbite, w beczkach ułożone przesyłać się zwykły. Jaja chowają się w sieczkę, mąkę, wypalony gips, aby tym sposobem od przystępu powietrza uchronione być mogły.

TEATR.

Na Nowy Rok mielibyśmy byli w Teatrze zupełną przyjemność miłego spędzenia wieczoru, gdyby obok wesołej i pełnej zalet komedyi Fredry „Damy i Huzary", gra występujących w niej osób, choć w części przynajmniej zadaniu sztuki odpowiedziała. Odnosimy to szczególniej do kobiet. Autor w komedyi „Damy i Huzary" w żywych i artystycznych postaciach skreślił charaktery kobiet, dość nie rzadkich, jeszcze i dziś między nami, kobiet całą rozkosz widzących w paplaniu bajeczek i ich fantazyowaniu, kobiet śmiesznych intrygowaniem i próżnością — ale zawsze kobiet urosłych na naszej ziemi — Polek — które choćby śmieszne, nie obudzają w sercach naszych wstrętu — ba! przecież i kapitana od Huzarów złapać umieją na wędkę. — Artystki zaś naszego Teatru przedstawiły w nich to wszystko, czego autor wcale przedstawić nie chciał tj. skarykaturowanie stroju, przesadę do nieprzyzwoitości posuniętą w ruchach i dykcyi, nieprawdę — największą nieprawdę, bo niewychowanie. Istne przecież niepodobieństwo, aby się w takiej karykaturze, jaką np. pi. Krajewska zrobiła z Anieli, mógł taki stary kapitan zabałamucić. Autor niestworzył niepodobieństwa, jego prawdę zepsuła artystka. Toż inne kobiety, wyjąwszy panny Biedrońskiej i pi. Monikowskiej, nie pojęły ról swoich i grały jakby maryonetki w szopce, obrawszy sobie jedynie za cel gadań i pisków: rozśmieszenie i... okłask niedzielnej publiczności. Wtórowały też w tym chórze niedorzeczności i mniejsze rólki służących, postrojonych jakby na piknik jaki w krynoliny i figlujących nie bardzo wdzięcznemi—wdziękami swej urody. Artyści, wyjąwszy nieco przesady, odegrali tę komedyą dobrze — p. Karol Królikowski wszędzie się umiał zastósować do swego tak zręcznie cieniowanego charakteru majora.

W Łobzowianach ze zwykłą precyzyą oddał naszego chłopka p. Benda; z reszty grających jednemu tylko p. Delchauowi nie można zarzucić braku siły i zalet gry. Na zakończenie widzieliśmy pięknie i fantastycznie ułożone Tableau z żywych osób. Fantazyę tę, mistyczny ten obraz wolno każdemu pojąć, jak chce. Ja widziałem anioła szczęścia... zanoszącego przed tron Boga skargi na niedolę — i zwiastującego nam pociechę i nadzieję lepszych czasów. Piękny obraz . . . Publiczność z rozrzewnieniem patrzyła się na stroje narodowe Polaków i Polek.

Powinniśmy jeszcze wspomnieć o „Precyozie "granej zeszłego miesiąca, a właściwie o pannie Hoffman, występującej po pierwszy raz w tej sztuce. Winszujemy Dyrekcyi tak miłego nabytku, jakim jest debiutantka. W grze jej widzieliśmy prawdę, o którą tak trudno na naszej scenie. Panna Hoffman posiada wszystkie zalety, z których można wróżyć znamienitą artystkę.

O sztuce „Mierność i Zbytek" granej 3go b. m. nie warto nawet wspominać. I sztuka i gra jej autora, występującego w głównej roli, stoją niżej wszelkiej krytyki.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk., Antoni Rother.